

10 marca [1950]

*Nowa próba notatek — dziennika*

Próbuję znowu pisać notatki – o ile możliwości i o ile potrafię – w sposób mniej osobisty i egocentryczny niż to, co robiłem dotychczas, przed wojną.

Znalazłem tę książkę z dobrym papierem, co bardzo zaważyło na tej decyzji! Papier, na którym się atrament rozlewa, uniemożliwia mi pisanie.

Także i to mnie skłania do notowania, że nie piszę teraz do pism ani listów prywatnych. Tu postaram się notować myśli i zdarzenia w sposób możliwie wierny moim myślom. O ile to tylko dziś możliwe oczywiście.

Chciałem początkowo poświęcić ten tom „myślom o marksizmie”. Ale odstępuję od takiego ograniczenia tematu. Raz myśli się to, raz owo. Nie jestem dość kompetentny i mocny, żeby dawać przyczynki do filozofii i systemu, który nas objął i zamierza „przebudować człowieka i świat”.

*sierpień [1950]*

Siadać na wodospadzie – prewet dla muchy czy Niagara dla człowieka, wszystko jedno – nie trzeba.

Bohaterstwo: czasami czy zawsze głupie?

Odwaga nie. Odwaga, *sagesse*, jest mądra. Bohaterstwo to także jedna ze skrajności ludzkich, jak świętość, podłość, genialność. Zboczenie. Natura ludzka zboczona w skrajność: fanatyzm, wiarę, zaślepienie.

Spokojność, ta cecha kultur, które sięgają po owoce. A gdy owoce zaczynają spadać, drzewo znowu traci liście, staje się nagie, okrutne, zimowe.

Zima.

Zima nadchodzi. Już plony zwożą ludzie pod dachy. Sierpnie są takie krótkie na starość.

*Stawisko, 23 lutego [1951]*

Czy człowiek stworzy jeszcze kiedy dzieło jak procesja panateńska z fryzu partenńskiego? Fantazja, porządek i doskonałość, w jednym rytmie jeźdźców i koni.

Jestem u Jarosława Iwaszkiewicza, w jego dużym domu, anachronicznym dziś, tutaj. Skończyłem wczoraj Elegię z *Symfonii Polskiej*. Coś w tym jest muzyki, coś też – czego nie potrafiłem dopowiedzieć, pomimo dopowiedzianej do końca frazy. Zabieram się do finału. Siedzę w domu z trzema paniami, które razem mogłyby pamiętać – jeżeli nie Łokietka, to Sobieskiego. Odczytuję sporo Iwaszkiewicza. Teraz go nie drukują. Jak na naszego „pierwszego prozaika” – sytuacja pachnąca tragedią. Teraz, gdy mógłby dawać sumę tego, czym jest.

Należy do czasów, w których autor stał w centrum swego dzieła, nawet jeżeli potrafił to przewyciężyć. Jak Gide czy Proust: erotyzm jako sprężyna centralna, bardziej czy mniej zamaskowana. „Ja” jak u Verlaine’a czy Baudelaire’a. W wierszach Jarosława zdradza się to najbardziej.

Dziś pierdolenie zeszło na dalszy plan. Zresztą, w kulturach dalszych od Morza Śródziemnego ten motyw schodzi bardziej na drugi plan.

Jarosław byłby wielkim pisarzem we Francji, we Włoszech, nawet w Anglii pierwszej połowy XX wieku. U nas dusi się, jak i paru innych pisarzy. Jest to duszenie się między życiem a dziełem. Tragiczna historia, której nie może ujawnić, opisać, bo to nie miejsce i nie czas na to. Tu nie obchodzi nikogo projekcja jego życia i doświadczeń, osobistych perypetii, na twórczy plan. Ma to i aspekt szerszy. Ale to jest tak nie tylko po tej wojnie, nie tylko zależne od obecnych, politycznych i społecznych powikłań. To stała u nas historia.

29 marca [1955]

[...] W listownym zakończeniu incydentu z Kisielewskim napisałem mu kilka gorzkich słów o prawdzie, której nie można mówić ludziom bezkarnie. Tylko barbarzyńcy objawiają swą prawdę bezpośrednio. Tańcem, strzelaniem z łuku, krzykami i płaczem. Człowiek cywilizowany, płód długowiecznej kultury, maskuje swoje uczucia, podaje prawdę ostrożnie, dozuje ją według tego, z kim ma do czynienia. Ani kochanek, ani mąż, ani ojciec, ani poddany, ani władca – nie mogą odkrywać w stu procentach swych myśli i uczuć. Natomiast prawda obowiązuje artystę. W sztuce, w wierszu, tragedii, dramacie, powieści – w dialogach czy enuncjacjach i obrazach, które autor kreśli, prawda jest jego warunkiem *sine qua non*. Stąd dostojność i trwałość dzieł sztuki, które nie kłamią. W życiu natomiast prowadzi to do nieuchronnych katastrof. W życiu nie istnieją takie dialogi jak w powieściach czy sztukach. Ani przyjaciele, ani wrogowie nie mogą sobie mówić całej prawdy. Przyjaciele – tego, co złe, wrogowie – tego, co dobre.

Jakie wzruszające jest milczenie Chrystusa, gdy go Piłat zapytał, co to jest prawda.

Stasiowi pisałem kiedyś o zachowaniu dziecinnej, naiwnej wiary w swoją prawdę u największych artystów. Najbardziej typowe są tu dla mnie późne opowiadania Tołstoja. Ale cecha ta jest i u Wiktora Hugo, Mickiewicza, Beethovena, Michała Anioła (sądząc z jego listów). U wszystkich tych, którzy swój „święty ogień” przenieśli przez życie, niezależnie od zakłamań i złudzeń, którym ulegali.

W jakim stopniu dzisiejsze dzieci rozróżnią i uwierzą w dobro, zło, kłamstwo, prawdę, uczciwość, szlachetność? Trzeba mieć z czego tracić, żeby nie być zupełną szmatą.

Wszystkie przeciwne obozy zarzucają sobie (w ciągu wieków) barbarzyństwo. Gdy zaś barbarzyńcy podbijają społeczeństwa o wyższej cywilizacji i kulturze, to zarzucają im zgniliznę, wyzysk, zepsucie i zniewieściałość. Różne są warianty tego, jednak – nie sięgając już do Greków i Persów, Hunów i Rzymian, do Bizancjum i Turków, do podbojów mongolskich i kolonizacji amerykańskiej – moje pokolenie pamięta, co zarzucały sobie przeciwne obozy w latach 1914-1918/20 i 1939-1945. W czasach pokojowych szczególnie trudna jest ta mobilizacja opinii, szczególnie niebezpieczna dla „barbarzyńców” konfrontacja i wzajemne poznanie. Przez szczeliny wsącza się zbyt wiele kontrargumentów, ideologia nie wytrzymuje przeciwdowodów. A przeciętny odbiorca, człowiek żywy, myśli w sposób zbyt uproszczony, żeby samodzielnie rozróżniać i ważyć racje i przeciwracje, których pełno u jednych i drugich po obu stronach barykady.

Tylko doprowadzając do fanatyzmu można walczyć skutecznie i zwycięsko. Trzeba wierzyć w słuszność swojej sprawy, której się broni. Kościół uratował się dzięki inkwizycji, imperium rzymskie trwało, póki jego obywatele wierzyli w oczywistość i słuszność ich panowania nad światem. Anglia nie wierzy już dziś w swoją misję cywilizacyjną, ale Stany Zjednoczone wierzą jeszcze w wyższość swojej cywilizacji. Francja doszła do sceptycyzmu – z wpływem krwi utraciła wiarę w swoją „misję dziejową”, we własne siły i porządek, który reprezentowała.

Jedną z najbardziej zagadkowych spraw w tej dziedzinie jest ideologia hitlerowska i praktyki, które oni z takim nakładem energii, szaleństwa i zmysłu organizacyjnego wprowadzili w czyn.

Łatwy do odcyfrowania nurt i źródła hitleryzmu nie tłumaczą zjawisk, na które patrzyłem, i których nie rozumiem.

Wszystko inne, co wiem i czasami widzę, tłumaczę sobie o wiele łatwiej, jako że nie każdy naród wydał Bacha, Schillera i Goethego. Nie ustrzegli oni

jednak Niemców przed hitlerowskim myśleniem, przed barbarią i nieludzkością. Okazało się tu, jak bardzo sztuka NIE wpływa na życie. Może wpływa na nie bardziej długa praktyka dyscypliny prawnej i ustawodawczej, nakazująca poszanowanie cudzej indywidualności i cudzych praw do istnienia i rozwoju? Wtedy jednak pojawia się indyferentyzm i poczucie względności, które osłabiają siłę witalną, owo minimum agresywności, potrzebne każdemu społeczeństwu, aby istniało. Rosja jest z pewnością w stadium rozkwitu tej wiary w słusność narzucanego przez nich porządku, lecz mimo to zmuszona jest bronić tej wiary tysiącem zakazów i środków prewencywnych, których zniesienie groziłoby czystości przekonań jej obywateli.

Sztuka jest tylko świadectwem i pomnikiem dziejów, lecz ich nie kształtuje tak, jak nie kształtuje, niestety, człowieka – jego indywidualum i charakteru. Obozowi oprawcy byli często amatorami muzyki, słuchali Mozarta, Bacha, Schütza, rozczytywali się w Hölderlinie i Goethem pomiędzy jedną egzekucją a drugą. A Nietzsche usprawiedliwiał wszystko, stwierdziłem to osobiście!

Tego unurzania we krwi w imię wykonywanych rozkazów nie można tłumaczyć sadyzmem ani ślepotą dyscypliny, ani tchórzostwem wobec przełożonych, ani „niemożnością buntu”. We wszystkich krajach oprawcy spełniają swoją rolę, wychodząc z założenia, że ofiara jest tworem niższym, niegodnym i niewartym życia – lub też, że jest jednostką szkodliwą, którą w imię nadrzędnych celów należy zniszczyć. Jest to podobne do pojęcia wroga na wojnie – z tą jednak różnicą, że wróg na wojnie może się (jak dotąd) bronić (bombardowania lotnicze i obecne, nowe środki zmieniają i tę przesłankę). Natomiast w obozach i przy różnych kolonialnych i wewnętrznych pacyfikacjach, podobnie w więzieniach, pojęcie wroga jest zastąpione pojęciem stworzenia niższego, które należy wytępić.

Może marksizm jest tylko przykrywką dla opanowania świata, ale czy – ucząc o równości ludzkiej – nie zostawi w następnych pokoleniach tego

szlachetnego ziarna, które tę równość głosi? (Ziarno nie może czegoś głosić – ale nie chce mi się wyszukiwać trafniejszego terminu!) Podobnie równość wobec prawa – nie ogłoszono jej bezkarnie w *les Droits de l'homme*...

Hierarchia, a więc władza, a więc elita – bez której świat nie umie się rządzić? Kto ją wybiera, mianuje, kto jest jej posłuszny?

Ludzie wolni, obywatele rzymscy, kościół rzymski, rycerstwo, arystokracja, wielka finansjera, partia u faszystów czy hitlerowców, międzynarodówka czy partia komunistyczna, oto szereg prób ustanowienia w ciągu wieków hierarchii gwarantującej porządek. Każda z nich coś wnosi, coś niszczy lub czegoś zakazuje.

W końcu XIX wieku i na początku XX wieku parlamentaryzm zdawał się być szczytem liberalnych możliwości. Tolerancja – szczytem politycznej moralności. Jakiemu to ulegnie rozwojowi w czasie, gdy niewielka grupa ludzi, wraz z garstką uczonych – niby arcykapłanów egipskich – posiada broń, której użycie zagraża setkom milionów istnień na ziemi?

Dwa miliardy pilnują tej garstki, czy też ona, oni, trzymają w rękach klucze losów owych dwóch miliardów ludzi?

U nas się o tym nie mówi ani pisze. Fantazja trzymana jest na uwięzi, uśpiona, uchwała się jakieś pokojowe deklaracje, które przestały działać na imaginację, tak są wyprane z wszelkich cech indywidualnych. Ale co się stanie, gdy skutek jakiegoś wypadku obłędny strach opanuje ludzkość lub jakąś jej część? Czy zacznie się jakaś gigantyczna czystka i pacyfikacja?

26 października [1955]

[...] Trudno mi skupić siły, których mam coraz mniej, z latami. Wszystko bez sensu – przeszkadza i zabiera czas. Chłopcy, choć traktowani dosyć pobieżnie, też mnie kosztują za dużo czasu i sił. Jednak, gdy to piszę np. w

Nieborowie czy w Sobieszowie, ogromnym plusem jest to, że nikogo nie mam, że mam natomiast regularny wikt i regularniej śpię i nie wypuszczam spermy na te wszystkie drobnostki – bo stało się to już dziś dla mnie raczej drobnostką, angażującą już tylko w momencie kontaktu z chłopcem. Gdybym mógł ująć to w życie z jedną kobietą, byłbym dziś uratowany na tę niewielką resztę życia. Ale z jedyną, z którą to było możliwe – nie widzę się od... 16 lat. I Minia jest już kimś innym, niż wtedy, na dworcu w Turynie, gdy ją ostatni raz widziałem. Ta sprawa, odsunięta – uniemożliwiona przez istnienie jej matki – zapewne zwichnęła mój jakiś sensowny rozwój. *Un mariage de raison* z Marcelle był możliwy w 1949 roku jeszcze, gdy byłem dziesięć dni w Paryżu. Tu tkwię w absurdzie erotycznym udając dwudziestolatka, spychając te sprawy do rzędu, który jest zaprzeczeniem jakiegoś normalnego, ludzkiego, uczuciowego rozwoju. Stary człowiek nie powinien tkwić w prewecie – a stosunek starego z młodym chłopcem nie ma sensu w sposób, jaki to czynię. Homoseksualizm jest zdegenerowany – podobnie jak palenie się staruszków do młodych dziewczynek, gdy się *per fas et nefas* usiłuje utrzymać jego rytm w późniejszych latach życia. Życie erotyczne powinno być jakimś związkiem z życiem uczuciowym i nawet z postawą moralną, z dyscypliną ludzką. Z poczuciem odpowiedzialności za drugich i za siebie. Bez tego nie ma sztuki. Niestety, nawet wysiłki moje w tym kierunku są minimalne. Chłopcom daję zaledwie jakieś ochłapy z mojej osobowości. Daję im jak najmniej. I to jest niemoralne, a nie fakt, że ich w taki czy inny sposób spuszczę.

10 stycznia [1956]

[...] Wieczorem musiałem wyjść z domu, żeby zostawić pokój Sz. Poszedłem do Henia. Oglądałem tam małe wydawnictwa SKIRY. Kolorowe: Picasso, Cézanne, Dufy, Lautrec i Degas. Przyjemnie jest być z Heniem, bo on natychmiast odczuwa, co robi wrażenie. Zaraz milknie i jak gdyby czeka. Tak

było, gdy zobaczyłem autoportret Cézanne'a. Właśnie Cézanne'a, na którego wygadywałem, że nic nie rozumiem z jego zielonych pejzaży. Myślałem o tych, które widziałem w Luwrze i na paru wystawach. Ale nagle ten autoportret starego, z brodą Cézanne'a, bury i jakby rembrandtowski, podziałał w ten sposób, w jaki działają najlepsze malowidła, w których wyraz wychodzi z malarstwa, a nie z ekspresyjnych sposobów, czy *truc* – gdy się wie, jak to robić na pamięć. Poważna sprawa, Cézanne. Henio to natychmiast wyczuł i siedział cicho. – Co tam jest, w tych obrazach? To wszystko, co trzeba mieć i czym trzeba być (żeby być kimś?).

(Mój Boże. Daj mi choć rok takiego życia, takiego skupienia, takiego skromnego oderwania się od świata, żebym mógł tak ten świat wyrazić).

Jesteśmy sami, sami na świecie i wobec tego świata. I tą samotnością wyłamujemy drzwi do ludzi, żeby wstrząsnąć ich sercami, ich sumieniami, ich ludzką istotą. Bez tego nie ma sztuki. Nie ma życia dla artysty.

Wejść tam, gdzie się te rzeczy odczytuje i wyraża.

Z takim portretem Cézanne'a przed oczami. Wystarczy unieść to, przechować – i mówić do siebie.

*Warszawa, 20 marca [1957]*

[...] Jakiś cudzoziemiec, który znał dobrze Polskę przedwojenną, mówił mi w Bristolu, że Polska bez Żydów, szlachty i kurew nie ma sensu.

Istotnie. Ci Żydzi, co są, ta szlachta, która jest i te biedne kurwy na Marszałkowskiej, to blade odbicie tego miasta sprzed 1939 roku! Czy jednak mój kraj, to to, i tyle? Czy wszystko inne jest imaginacją, wymysłem, domkiem na lodzie? Nie jestem nacjonalistą ani hurratriotą. Ale czy można nas obedrzeć z tyłu wiar, miłości i złudzeń?



Europa – o której tyle teraz piszą – co ma jeszcze do nas? Leciałem nad tundrą syberyjską, w której można topić takie narody jak nasz – a nie zawadziłem nawet o Kołymę, Komi czy Półwysep Kola...

W Czechosłowacji umarł w więzieniu János Esterházy, mój kuzyn, skazany na śmierć w 1945 roku, „ułaskawiony” – na dożywotnie więzienie po powrocie z takiej północnej którejś republiki. Szlachetny, dobry, w końcu nawet święty. Gorący i kochający „swoich i obcych”, prosił, żeby mógł umrzeć u swojej siostry, a mojej bratowej, Maryszki Mycielskiej. Taka śmierć ma wartość i godność wielkiej ofiary, której nie miały masowe śmierci w obozach, na zesłaniach, w masowych egzekucjach.

W 1939 roku otworzył mi Bibi Esterházy drzwi na Iszthenhegyi utca w Budapeszcie, gdy wylądowałem tam boso prawie, bo w podartych pantoflach, które mi dali dobrzy Żydzi w Uszhorodzie – nogi miałem we krwi od marszów wrześniowych. Byłem bez koszuli, w jakimś kusym swetrze. Pamiętam kolację u nich, zastawiona jedzeniem – zawrót głowy wszystkim, co było na stole – winogrona, na końcu kawa, cygaro. Gdy położyłem się spać, dostałem bóleści, nie wiedziałem, gdzie lecieć po ciemku, obrzygałem śliczny, czyściutki, elegancki balkon w tej budapeszteńskiej willi, obsrałem na rzadko. Bibi wziął mnie nazajutrz do sklepu i kupował mi buty, bieliznę, ubranie. Dawał wszystko i więcej niż mógł dziesiątkom i setkom polskich uchodźców. O północy przyszedł z żołnierzem i podoficerem generał Sosnkowski – ubieraliśmy go potem wspólnie w tym samym sklepie. Przychodzili generałowie na narady, a żona Jánosa, półwariatka Livia Esterházy, mówiła mi – wytrzeszczając wielkie oczy: „Zigmunt – to się wszystko skończy tym, że tu przyjdzie bolszewizm – i do was – i do nas, tu”.

Dziś János umarł, Livia jest obłąkana i żyje w Peszcie jako robotnica. Syn, Janoska, mały, śliczny wtedy chłopczyk, „gdzieś na Zachodzie” – podobno w Australii – my to tu też nazywamy Zachodem... Córeczka, Alice, nie wiem gdzie.

Chyba we Francji. Maryszka z dziećmi w Czechosłowacji, mój brat w Johannesburgu. Ja tu coś piszę i przypominam.

Co on wiedział, myślał, czuł, umierając w tym czeskim więzieniu sam, od 12 lat zupełnie sam? Maryszka pisze, że dużo się modlił. W obozach nie widziałem wielu modlących się. Ale jeżeli on umiał się modlić, to mu może nie było tak strasznie jak przypuszczamy. Gdy wspominał moje najgorsze czasy w obozie, w 1944 i 1945 roku, to mi nie było tak źle, nawet wtedy, gdy miałem umierać. Ale wtedy wiedziałem, że z hitleryzmem koniec. To mi, mimo wszystko, bardzo dodawało sił, jakiegoś gatunku nadziei. Dziś szukam okna – i nie widzę go. Mam uczucie duszenia się, nieludzkiego duszenia się całej społeczności narodów, które nie widzą ludzkich proporcji tego faktu.

*Paryż, 29 rue Jacob, Hotel d'Isly, 7 czerwca [1957]*

[...] Ocean i Chartres (które już widziałem 25 lat temu) zrobiły na mnie największe wrażenie. Chartres – przez doskonałość tej anonimowej sztuki. Rzemieślnicy, którzy doszli do absolutnej jedności pracy, ideału i rezultatu. Chorał gregoriański odpowiada temu, ale w twórczości Bach jest może „najbliższym odpowiednikiem” – pomimo całego bagażu indywidualnego wzruszenia, które włożył w swoje dzieło. Bach jest przecie już bardzo romantyczny przy Palestrinie, Vittorii – a Palestrina i Vittoria czy Josquin przy mistrzach organum, Perotinie i chorale gregoriańskim. Ale rzeźby w Chartres są też rezultatem wzruszenia, największego może, jakie może istnieć, bo absolutnie podporządkowanego ustalonej formie (i też: formule duchowej!) – wierze.

Wzruszenie tych rzeźb jest sto razy „wyższe” od wzruszenia mistrzów antycznych, którzy doszli do formy klasycznej, greckiej. Większe niż u mistrzów renesansu. Jest to wzruszenie człowieka, który wierzy, pracuje i umie w zupełnej

jedności tak zwanych możliwości technicznych ze swoją postawą wewnętrzną wyrażać pewien ustalony, ale odpowiadający mu kanon.

Oni rzeźbili naprawdę aniołów, proroków, Chrystusa i jego przodków – dla tej katedry. Takie momenty są możliwe tylko raz w historii. Są inne niż budowane przez niewolników piramidy. Tu człowiek był niewolnikiem na ziemi, ale czuł się wolny wobec Boga. Zapewne: w chińskich grotach i hinduskich świątyniach działo się coś podobnego, jak w Chartres (groty w Ta Tungu, które widziałem), ale koordynację takiego pomnika jak Chartres uważam za coś doskonalszego niż koordynacja wydrążonych skał i gór w Ta Tungu. Angkor Wat jest może czymś podobniejszym, jako całość tej wielości szczegółów. W Angkor nie byłem, ale pokryte rzeźbą świątynie mniej mnie wzruszają niż rytm szczegółów i gładkich powierzchni, które nasz europejski XII i XIII wiek wznosił we Francji.

*Warszawa, 17 sierpnia [1957]*

[...] Przyglądam się chłopcom grającym w siatkówkę. Mam wrażenie wielkiej ilości ślicznych chłopców u nas. Dobrze zbudowani, smukli, zgrabni, prości i prymitywni. Nie wiadomo, w którym miejscu zaczynają się chuligani. Jeden, nieco starszy, dwudziestotrzyletni, jak się potem dowiedziałem, „ćwiczy” na drążku, robi obroty z prostymi kolanami. Nawiązuję rozmowę i poznaję dziwny egzemplarz: syn chłopca, był hutnikiem, teraz pracuje w jakiejś prywatnej masarni i twierdzi, że zarabia około 100 zł dziennie. Gdy matka zagania go (na wsi) do małżeństwa, odpowiada jej, że nie ożeni się, „bo lubi starszych mężczyzn”.

Okazuje się, że mieszkając z bratem w chałupie „bawili się razem” (brat młodszy od niego o 2 lata, więc nie bardzo to pasuje do „starszych mężczyzn”). Mówi o tym nie tylko bez żadnej żenady i hamulców, dodaje nawet, że zawsze płaci za tych starszych mężczyzn.

Wyszliśmy oczywiście razem i poszliśmy na kolację do knajpki na Saskiej Kępie, gdzie wypijamy „po setce” i jemy kotlety schabowe. Chcę płacić, on też chce, w rezultacie dzielimy rachunek. Wnikam w jego zdumiewający świat. Idziemy wreszcie nad Wisłę, gdzie odbywa się dalszy ciąg tego wszystkiego. Słońce zachodzi. Kręcimy się w okolicach Stadionu, wchodzimy do środka, gdzie młodzi rowerzyści w szortach i krótkich, kolorowych koszulkach wyrzuconych na zewnątrz jeżdżą, stoją grupkami, rozprawiają. Inne parki chodzą wzdłuż wału, po nowych drogach, jakie tam porobiono. Jest bardzo pięknie i ciepło. Pod koniec spotykamy różne półznajome grupki. Siedzimy we czwórce, potem w szóstkę, na trawie. Rozmowy są młode, wesołe. Jednakże nie dochodzi do żadnych masowych ekscesów – wszystko odbywa się przyzwoicie, mój zadziwiający nowy znajomy chce być tylko ze mną, we dwóch, nie chce nawet widzieć innych. Przypomina mi to Prousta, jego uwagi o Jupienie... Przy rozstaniu nalega wielokrotnie na spotkanie, ale się z nim – jak zwykle – nie umawiam. Wolę jednorazówki niż późniejsze rozczarowania.

[...] Moje sumienie nigdy całkiem czyste. Moralność śliska, choć, aby zachować jej minimum, staram się nikogo nie namawiać, nigdy już teraz nikogo nie upijam, nie kupuję. Idę tylko na to, co wydaje się obustronną ochotą, a to jest jeszcze stosunkowo najmoralniejsze w tych śliskich, erotycznych sprawach.

W ten sposób staram się uspokajać moje sumienie, zapewne okłamuję się, ale staram się nie staczać w absolutny cynizm. Póki byłem młody, nie zważałem na moralną i etyczną stronę erotyzmu. Dziś, na starość, staram się zachować jakieś pozory, aby ten erotyzm nie stawał się obrzydliwy, rzecz najtrudniejsza może „w pewnym wieku”. Hamulce w tej dziedzinie są najtrudniejszą rzeczą, przynajmniej dla pewnych natur. Moim jedynym hamulcem jest „nie krzywdzić drugiego”, ale pojęcie krzywdy jest tu bardzo rozciągliwe i nigdy nie wiadomo, gdzie się ona zaczyna, kiedy z takich postępów wyniknie krzywda. Najistotniejsze to, co i ile się bierze, co i ile się daje. Póki dla chłopca jest to tylko

przygodą, póki on, choćby najmniej, ale coś z takiej znajomości bierze, zyska, póty taki stosunek „trzyma się kupy”. Jeżeli jest on traktowany wyłącznie jako przyjemność, jako instrument dla zaspokojenia własnej namiętności (mojej), a przy tym traci moralnie przez łatwy zysk, pijaństwo, rozwłóczenie i zachwianie systemu nerwowego – zwłaszcza, gdy to jest przedwczesne – wtedy my, starsi, jesteśmy winni.

Gdy się ma 20, 30 lat, sprawy te mają mniejsze znaczenie – póki chłopiec jest w jakimś sensie „kolegą”. Ale gdy różnica wieku przekracza kilkanaście lat, sprawa staje się poważniejsza. Stacza się do poziomu demoralizacji młodzieży, bez względu na to, czy stosunek jest homoseksualny czy heteroseksualny.

W wypadku wczorajszym miałem przyjemne, dodatkowe wrażenie absolutnego moralnego spokoju. Nie było mowy o jakimkolwiek demoralizowaniu. Chłopak znalazł to, co lubi, nie było śladu niemoralności w całej tej historii. Tylko zakłamaną dewotką mogłaby się jej doszukać! I nawet niepodanie własnego adresu z mej strony uważam za rzecz w porządku – nie mogę bowiem twierdzić, że chłopak się mógł „zakochać”! Byłoby to zbytkiem zarozumiałości z mojej strony!

*2 marca [1958]*

[...] Katolicy w Polsce są prymitywni w swojej masie, procesjonalni, medalikowi, bliscy prymitywnego fanatyzmu. Może to jest ich siłą. Wiara i tolerancja wykluczają się w gruncie rzeczy. Chodzi o ogólny poziom kulturalny, umysłowy i moralny społeczeństwa.

Jak mogło dojść do hitlerowskiego fanatyzmu w Niemczech? Bo w Rosji jest to więcej niż zrozumiałe; ale ci wszyscy ludzie z miasteczek niemieckich, karmieni myślą, literaturą, sztuką, jaką mieli?

Od 1939 roku nie mogę tego zrozumieć. Widocznie w każdym narodzie są wszystkie możliwości. Ich urzeczywistnienie zależy tylko od okoliczności. W pewnych warunkach można by ze Szwajcarów zrobić hordę mordującą resztę świata. Czy na pewno? W pewnych, właśnie, warunkach – zapewne tak. Trudno zrobić z Rosjan tolerancyjnych, liberalnych, sceptycznych, kulturalnych i cywilizowanych ludzi. Teraz wierzą oni naprawdę, że u nich jest najlepiej. Że przewodzą ludzkości. Podobnie, jak Amerykanie wierzą w swój typ szczytowego rozwoju cywilizacji dzięki swoim drogom, samochodom, lodówkom i mieszkaniom, w których metraż na głowę ludności jest „przodujący”.

*Warszawa, 1 grudnia [1958]*

[...] Wszystko, co formuję, muzyka, słowa, czyny, jest poniżej poziomu, na którym się czuję. Poziomu intelektualnego, duchowego, moralnego też. Prześladowuje mnie to przez całe życie. Teraz wzmaga się. Powoduje ciągle rosnącą nienawiść do tego, co robię, do siebie. Głęboką niechęć do wszelkiego rezultatu moich poczynań. Moje nuty, książki, zapiski, wszystko jest śmieciem, którego nienawidzę. Bo moje życie jest śmieciem.

Moje życie i osoba były przeznaczone do wielkiego wysiłku, poświęcenia, do bohaterskiej wiary i miłości. To rozsypałem – a miałem żyć w patetycznej aurze. Rozsypałem nie przez inteligencję, ale przez pobłażanie sobie i drugim.

Człowiek nie jest wolny. Musi być twardy, jeżeli chce utrzymać minimum sprawności fizycznej. Z intelektem jest podobnie. Mózg i wolę można ćwiczyć jak mięśnie – codziennie.